

Kino i reszta świata

ANDRZEJ
WAJDA

znak

AUTOBIOGRAFIA



Wolność kwiatów

(Z Kioto do Krakowa)

Często słyszę pytanie, dlaczego właśnie Japonia stała się przedmiotem mego szczególnego zainteresowania. Dlaczego, mając wiele innych możliwości, zwróciłem się w stronę tego dalekiego kraju?

Myślę, że odpowiedź jest prosta. W Japonii spotkałem ludzi bliskich memu sercu. Nie znam ich języka, ledwo poznałem obyczaje, ale myślę, że znam ich dobrze. Mają te wszystkie cechy, które chciałem przez całe moje życie rozwijać i pielęgnować w sobie: powagę, poczucie odpowiedzialności i honoru oraz potrzebę tradycji.

To dzięki spotkaniu z Japonią wiem, że te piękne cechy istnieją nie tylko w mojej wyobraźni. Wiem, że istnieją one naprawdę.

Z wywiadu: Warszawa, 20 lipca 1997

Pałac księżnej Takamatsu znajduje się na terenie ogrodów cesarskich w Tokio za szeroką fosą i wysokim murem. Sama budowla wygląda dość banalnie i przypomina pawilon z lat trzydziestych. Wewnątrz meble i wyposażenie też europejskie. Przed rozpoczęciem obiadu dla laureatów Premium Imperiale 1996 czekamy zgromadzeni w obszernym wnętrzu. Trzy młode osoby, ubrane po europejsku, wnoszą tace ze sztucznymi kwiatami i zapraszają do wybrania niewielkich bukietów, z których każdy jest inny. Bez większego namysłu wybieram anemony. Jeszcze chwilę trwają rozmowy – i otwierają się szeroko drzwi, aby wypuścić nas do jadalni.

Na stole na trzydzieści osób przy każdym nakryciu leży już bukietek wskazujący, gdzie każdy z nas ma usiąść. Łatwo zauważyć, że co prawda wybór kwiatów

pozostawiono nam, ale miejsca przy stole podlegały już dokładnemu planowi. Pani domu zajęła środkowe miejsce, znakomity rzeźbiarz francuski César usiadł po jej prawej ręce, Krystyna ze swoją nienaganną francuszczyzną znalazła się obok mistrza, a ja – naprzeciw księżnej. Pomiędzy rozdaniem nam kwiatów a otwarciem drzwi upłynęło nie więcej niż kilka minut.

Może dlatego podczas tego obiadu u księżnej cofnąłem się o lata i zrozumiałem, jak to było możliwe, że oparta tylko na dobrych chęciach nasza Fundacja Kioto – Kraków mogła zrealizować swój plan i wzniesć w Krakowie Centrum Manggha.

Wszystko zaczęło się od długich przygotowań prowadzonych przez panią Et-suko Takano, dystrybutora moich filmów w Tokio, by moje nazwisko znalazło się na liście kandydatów do Kyoto Prize, najpoważniejszej tego rodzaju nagrody w Japonii. W dziedzinie filmu moimi poprzednikami byli Fellini i Bergman, po mnie nagrodę dostał Kurosawa.

Było to dla mnie niezwykle wyróżnienie; również suma trzystu pięćdziesięciu tysięcy dolarów wydawała się niewyobrażalną górą pieniędzy. Zrobiłem już dwadzieścia kilka filmów i dwa razy tyle spektakli teatralnych i telewizyjnych, nigdy jednak nie zarobiłem takiej sumy. W roku 1987, wobec niepewnej wciąż przyszłości, decyzja, co z otrzymanymi pieniędzmi zrobić, nie była łatwa, a potrzeb – aż nazbyt wiele. Pomysł, aby ich użyć na rzecz zbiorów japońskich w Krakowie, które od 1926 roku, kiedy Muzeum Narodowemu ofiarował je Feliks Jasieński, nie ujrzały światła dziennego, nasunęło mi wspomnienie krótkiej chwili, kiedy można je było zobaczyć: w 1944 roku, w czasie niemieckiej okupacji. Ukrywałem się wtedy w domu moich stryjów w Krakowie, tygodniami nie wychodząc na ulicę, ale na wystawę zbiorów japońskich w Sukiennicach pójść musiałem. Miałem wtedy siedemnaście lat i choć od trzech już wojennych lat malowałem namiętnie, nie widziałem dotąd żadnej wystawy sztuki. Było to moje pierwsze tego rodzaju przeżycie. *Fala Hokusai*, portrety kobiet Utamaro czy *Deszcz na moście Hiroshige* wryły się w moją pamięć i stały się moją własnością raz na zawsze, gdziekolwiek bym się znalazł. O tym też mówiłem, odbierając 10 listopada 1987 nagrodę w Kioto:

Odbierając z rąk Pana, Panie Prezydencie, Nagrodę Kioto, cofnę się w przeszłość, aby przypomnieć niezwykle zdarzenie, jakim była dla mnie w najcięższym roku wojny i niemieckiej okupacji wystawa sztuki japońskiej w Krakowie. Tyle jasności, światła, ładu i poczucia harmonii nie widziałem nigdy przedtem – było to moje pierwsze w życiu spotkanie z prawdziwą sztuką.

Niestety, od 1944 roku do dziś nie mogłem oglądać tych zbiorów. Zniknęły jak jakiś fantastyczny sen, powróciły do szaf i szuflad, gdzie przebywają od sześćdziesięciu lat. Ten zbiór sztuki japońskiej jest własnością miasta Krakowa, a został mu подарowany przez fanatycznego wielbiciela i znawcę sztuki japońskiej, Feliksa

Jasieńskiego, w 1926 roku – roku moich urodzin. Zbiory, wzbogacone ofiarą innych kolekcjonerów i zakupami, osiągnęły dziś pokaźną liczbę wielu tysięcy eksponatów – drzeworytów, ubiorów, ceramiki i militariów.

W naszym życiu najsilniejsze są uczucia i zachwyty doznawane w młodości. Wracam do tych szczęśliwych chwil i chciałbym, aby i inni byli tak szczęśliwi, jak ja byłem wówczas, oglądając po raz pierwszy arcydzieła dawnej sztuki japońskiej. Dlatego nagrodę, którą przed chwilą otrzymałem, przeznaczam w całości na rzecz japońskich zbiorów Muzeum Narodowego w Krakowie, w nadziei, że i tutaj, w Japonii, znajdą się miłośnicy tej sztuki, którzy przyłączą się do mojej inicjatywy – podźwignięcia w Krakowie muzeum dla zbiorów czekających od sześćdziesięciu lat w ukryciu, aby mogły wreszcie ukazać swoje piękno oczom całego świata.

Oczami duszy widzę piękną japońską budowlę w Krakowie, który, jak słyszę, ma stać się bratnim miastem Kioto. Do jej wnętrza wchodzi młody człowiek – malarz, poeta, filmowiec – który, jak ja wtedy, w 1944 roku, po raz pierwszy w życiu styka się ze sztuką Japonii i to spotkanie kształtuje jego artystyczne i estetyczne poglądy na długo.

Czy moja fantazja posuwa się zbyt daleko, jeśli widzę go po wielu, wielu latach pracy i wysiłku odbierającego Nagrodę Kioto jako kolejny Polak?

Jestem szczęśliwy. Nagroda Kioto, którą dziś otrzymałem, rzuca pomost nie tylko pomiędzy Polską i Japonią, ale również – poprzez ideę Muzeum Sztuki Japońskiej w Krakowie – pomiędzy wiekiem XX a XXI.

Wielkie dzieło Jasieńskiego domagało się kontynuacji i ktoś musiał wziąć tę rolę na siebie. Krystyna z radością wsparła mój projekt. Nie liczyłem na wiele, gdyż mój gest nie był poprzedzony żadnym przygotowaniem ani w kraju, ani tym bardziej w Japonii. Owszem, odczuwałem sympatię moich japońskich przyjaciół, ale kiedy po zakończeniu uroczystości w Kioto znaleźliśmy się w Tokio i mój opiekunńczy anioł, pani Takano, zjawiła się na spotkaniu z Arata Isozaki, byliśmy szczerze zdumieni. Usłyszeliśmy bowiem, że ten światowej sławy architekt nie tylko jest zainteresowany naszą inicjatywą, ale chce – poruszony moją decyzją – ofiarować naszej fundacji projekt przyszłej budowli. Miał w tym swój udział znany krakowski architekt Krzysztof Ingarden, który współpracował w tym czasie z Arata Isozaki w jego nowojorskim biurze i zwrócił mu uwagę na tę ideę.

Ta chwila – jestem dziś tego pewien – zdecydowała o powodzeniu całego przedsięwzięcia. Isozaki, uważany w Japonii za jednego z kilku artystów łączących ten kraj ze światem, przez swój gest nadał naszemu pomysłowi wagę i przeniósł go z fantazji do rzeczywistości.

Powołanie Fundacji w Krakowie, mimo przychylności Muzeum Narodowego, nie było łatwe. Krakowskie władze partyjne niechętnie patrzyły na inicjatywę Wajda – Zachwatowicz, a ówczesny minister kultury i sztuki radził dyrekcji Muzeum, aby

nakłoniła nas raczej do sfinansowania klimatyzacji w budowanym od kilkunastu lat Nowym Gmachu. Zabawne, ale również japońska ambasada w Warszawie z rezerwą angażowała się w sprawę Fundacji, mając nas oboje za dysydentów związanych ze zdelegalizowaną w tym czasie Solidarnością.

Sprzyjało nam jednak szczęście, a objęcie dyrekcji Muzeum przez Tadeusza Chruścickiego spowodowało, że sprawa zaczęła nabierać rumieńców. Zbiory japońskie z Krakowa, dzięki niezmożonej energii kuratora, doktor Zofii Alberowej, pokazano na wystawie w Tokio. Ostrożni Japończycy mogli przekonać się naocznie, że projektowana budowla rzeczywiście ma służyć dawnej sztuce ich kraju, zobaczyli w dodatku wiele dzieł w Japonii nieznanych.

Tymczasem moja nagroda zdeponowana w banku tokijskim obrastała co prawda odsetkami, ale ciągle była to tylko niewielka część sumy potrzebnej do rozpoczęcia budowy. W sierpniu 1988 Arata Isozaki przybył do Krakowa i dokonał wyboru miejsca. Trafił na jeden z tych ponurych i deszczowych krakowskich dni, kiedy szarość zakrywa wszystko i łączy niebo z ziemią. Towarzyszyliśmy naszemu artyście z Krystyną i Krzysztofem Ingardenem, podziwiając, jak błyskawicznie odnalazł na planie miejsca zaproponowane przez miasto i określił ich przydatność. Najgorzej w jesiennej szarudze wypadł widok z Wawelu na działkę po drugiej stronie Wisły, gdzie stały dwa nędzne baraki Kieleckiego Przedsiębiorstwa Robót Drogowych. Nasz gość umiał jednak zobaczyć więcej.

W moim długim życiu spotkałem niewielu artystów ze znamionami geniuszu. Jednym z nich był z całą pewnością Tadeusz Kantor, drugim – właśnie Isozaki, który wypatrzył w ten szary i beznadziejny dzień wszystko, co było konieczne do podjęcia decyzji. Myślę, że dwa czynniki odegrały w niej decydującą rolę: rzeka i wzgórza wawelskie. Muzeum Sztuki i Techniki Japońskiej w Krakowie zyskało od razu najlepszy adres w mieście: za Wisłą, naprzeciw Wawelu.

Ciągle jednak Fundacja nasza nie była zarejestrowana i piętrzyły się trudności administracyjne. Zmieniły się jednak czasy. Okrągły Stół, a potem wygrane przez Solidarność wybory otworzyły nową epokę. W czerwcu 1989 zostałem wybrany na senatora RP pierwszej kadencji, co ogromnie ułatwiło kontakty z japońskim ambasadorem w Warszawie panem Nagayo Hyodo, który stał się teraz prawdziwym sojusznikiem naszego projektu. A mianowany przez Tadeusza Mazowieckiego wojewoda krakowski Tadeusz Piekarczyk z entuzjazmem wyszedł naprzeciw naszym poszukiwaniom miejsca pod budowę. Miasto też nie pozostało bierne. Prezydent Józef Lassota otworzył niejedne drzwi w lokalnej administracji. Wszystkie uruchomione wcześniej inicjatywy zaczęły spotykać się z sobą i nadszedł czas, aby starać się o rozpoczęcie budowy.

Nim to jednak nastąpiło, konieczna była publiczna prezentacja naszego projektu. W lipcu 1991 roku gotowa makieta przywieziona z Tokio stanęła w galerii

w Sukiennicach. Niedługo później podobna prezentacja odbyła się w Muzeum Narodowym w Warszawie; przybył na nią Witold Lutosławski. Pamiętam, że trochę mi się plątał język, jak zwykle wobec niezwykłego artysty, który wymagał zawsze w rozmowie bardzo dokładnych sformułowań i sprawdzonych informacji. Obie uroczystości były pilnie obserwowane przez Ambasadę Japońską w Warszawie; w rezultacie naszych zabiegów w następnym roku rząd Japonii staraniem ministra Jacka Saryusza-Wolskiego wyasygnował trzy miliony dolarów z polsko-japońskiego funduszu na wsparcie naszego przedsięwzięcia.

Kolejny milion dolarów, który zgromadzili nasi japońscy przyjaciele, zbliżał nas już do celu, ale trzeba było za wszelką cenę pozyskać jeszcze jeden. Tę ostatnią sumę zebrali japońscy kolejarze ze Związku Zawodowego Wschodniej Japonii.

Od 1980 roku, od realizacji *Człowieka z żelaza*, byliśmy już z Krystyną wprowadzeni w ruch Solidarności. Teraz, podróżując przez południową Japonię pociągami Shikansen w towarzystwie przewodniczącego Związku Kolejarzy Akiry Matsuzaki, odwiedzając zajezdnie, warsztaty napraw, noclegownie dla maszynistów i świetlice, znaleźliśmy się znów w świecie naszych dawnych przyjaciół – robotników i działaczy związkowych. To z ich drobnych składek i ze zbiorów prowadzonych na dworcach, gdzie przepasany wstęgą i z puszką w rękę anonsonowany byłem przez głośniki – „Polski reżyser *Człowieka z marmuru i żelaza* zbiera składki na muzeum sztuki japońskiej w Krakowie!” – uzyskaliśmy kwotę brakującą do sumy pięciu i pół miliona dolarów.

O sukcesie budowy zdecydowały trzy podjęte wiosną roku 1993 decyzje: powierzenie jej japońskiemu przedsiębiorstwu budowlanemu Takenaka, ustalenie daty wmurowania kamienia węgielnego na maj 1993, a daty otwarcia Centrum – na 30 listopada 1994 roku.

Przetarg na budowę wygrała co prawda jedna z polskich firm budowlanych, ale ja zbyt dobrze pamiętałem, jak powstawał garaż przy naszym domu na Żoliborzu; pijani już od godziny dziesiątej rano murarze klecili go tygodniami. Postanowiłem jako fundator nie respektować wyników przetargu, byle tylko pozyskać Japończyków jako inwestora Centrum.

Była to decyzja zbawienna. Takenaka, firma istniejąca od XVIII wieku i rozgałęziona na całym świecie, powierzyła tę pracę swemu oddziałowi z Düsseldorfu. Odetchnąłem z ulgą, gdyż wiedziałem, że budowali oni już wielokrotnie dla Arata Isozaki i liczyli na dalsze jego projekty w Japonii. Rozumieli też dobrze, że termin jest nieprzekraczalny ze względu na obecność przedstawicieli rodziny cesarskiej na otwarciu.

Miło było patrzeć, jak budowała z dnia na dzień rośnie. Spotkanie japońskiej organizacji pracy z polskim wykonawstwem dało efekt bardzo szczęśliwy. Codzienny szczegółowy nadzór inżyniera Henryka Trębacza – naszego inwestora

zastępczego, który, nim otworzył własną firmę, przeniknął wszystkie tajemnice budowlanych kombinatorów, pracując przez lata na krakowskich budowach – zapewnił nam wgląd w rzeczywisty stan robót.

Uroczyste wmurowanie kamienia węgielnego odbyło się 28 maja, w obecności delegacji japońskiego Związku Zawodowego Kolarzy, której towarzyszył kapłan shinto. Wygłosił on piękne wezwanie do wszystkich duchów zamieszkujących miejsce, gdzie stanąć miała nasza budowla, aby pozostały tutaj nadal, gdyż nic nie zakłóci ich dalszej egzystencji. Patrzyliśmy z zachwytem na ten obrzęd pojednania z duchami na tle wawelskiego wzgórza.

Od tej chwili ruszyła budowa. Potężna stalowa ściana Larsena wbita na głębokość kilkunastu metrów w ziemię zabezpieczyła naszą budowlę od strony Wisły. Wcześniej jednak ustaliliśmy datę otwarcia Centrum. Wiedząc, że nasze przedsięwzięcie jest pilnie obserwowane w Tokio, a środki na budowę policzone co do grosza, wyznaczyliśmy termin piętnastu miesięcy na wykonanie wszystkich prac. Przez długie lata PRL-u przedsiębiorstwa budowlane żyły z budowania, przeciągając każdą inwestycję latami i traktując jej zakończenie jak klęskę, która zmusza do starań o następną. Budżet finansował bowiem tak naprawdę przedsiębiorstwa, a nie budowę. Teraz wiedziałem, że Takenaka budować będzie nasze Centrum z własnych pieniędzy, a Fundacja zobowiązana jest do płacenia rat w miarę postępu robót. Nic nie stało na przeszkodzie, by przyjąć termin możliwie najszybszy.

W Polsce istnieje dobrze wszystkim znany kalendarz dat związanych z narodową tradycją. Styczeń to powstanie 1863 roku, marzec – antysemickie ekscesy w roku 1968, maj kojarzy się z walką o prymat między Pierwszym a Trzecim Maja. W lipcu obchodzono święto PRL, sierpień to aż trzy rocznice: cud nad Wisłą, Powstanie Warszawskie i interwencja w Czechosłowacji, a potem – strajki 1980 roku. Wrzesień 1939: klęska. Październik: rewolucja bolszewicka. Listopad: znowu powstanie, noc listopadowa 1830, kolejna klęska. Wreszcie grudzień: rok 1970, brutalna akcja wojska i sił bezpieczeństwa przeciw robotnikom Wybrzeża. Można by tę listę jeszcze wydłużyć...

Beznadziejne poszukiwania najwłaściwszej daty otwarcia Centrum przecięła Krystyna, decydując, że 30 listopada, dzień mojego patrona św. Andrzeja Apostoła, nadaje się najlepiej, abym otrzymał prezent na miarę swoich ambicji. Tak się też stało.

Choć z wykopów dźwigały się już mury piętra, rozwiązanie dachu ciągle jeszcze ulegało zmianom. Pamiętałem dobrze krótką chwilę, kiedy Arata Isozaki, stojąc na wawelskich tarasach, patrzył przez Wisłę na plac przyszłej budowy i rozmyślał o kształcie swego dzieła. Jasne było, że dach – piąta fasada Mangghi – będzie najlepiej widoczny właśnie z Wawelu. Byłem nieco zawiedziony, kiedy przybrał on kształt zbyt techniczny – spodziewałem się wyraźniejszej aluzji do *Fali Hokusai*. Zwierzyłem się więc z moich wątpliwości Krzysztofowi Ingardenowi, który przekazał je do Tokio. Do opisu odważyłem się dołączyć rysunek. Zrobiłem to,

pamiętając własne filmowe doświadczenia, kiedy ktoś z ekipy, wcale do tego nie upoważniony, dawał mi niekiedy jakąś zbawienną radę... Nie inaczej moją sugestię potraktował wielki architekt. W rezultacie dach zwraca się dziś dwoma oknami na wschód i zachód; wzbogaciło to pięknie jego linię, upodabniając do japońskiej fali z dzieła Hokusai, które podziwiałem po raz pierwszy w 1944 roku.

„Są na ziemi rzeczy, o których się waszym filozofom nie śniło” – mówi Hamlet do Poloniusza. Jedną z nich udało mi się zobaczyć. Grzbiet dachu opierał się na skomplikowanej konstrukcji z drewnianych belek. Dokładne obliczenie ich długości nie stanowiło problemu, ale nie było pewności, kto potrafi ułożyć i powiązać z sobą tę drewnianą kompozycję. Tego problemu nie mogli rozgryźć nasi japońscy specjaliści. Trzeba było wołać górali z okolic Zakopanego. Nic nie jest dla nich zbyt trudne; przekonałem się o tym, gdy budowali dekoracje do moich filmów. Sobie tylko znaną metodą pocięli belki i w błyskawicznym tempie, gdyż zawsze spieszą się do jakichś porzuconych na chwilę sianokosów, podźwignęli tę niezwykłą konstrukcję.

Rankiem w dniu otwarcia patrzyliśmy we czworo – Arata Isozaki ze swą żoną, rzeźbiarką Aiko Miyawaki, Krystyna i ja – przez Wisłę na nasze wspólne dzieło. W porannej mgle zarys dachu i linia ścian płynęły równolegle z nurtem rzeki, tworząc harmonię, która dawno, przeszło pięćdziesiąt lat wcześniej, uderzyła mnie tak silnie na wystawie w okupowanym przez Niemców Krakowie. Niezapomniana *Fala w Utagawa* Hokusai, śmiała i łagodna, stała wcielona w japońską budowlę na wprost Wawelu.

Rzecz dziwna, ale Kraków przyjął Centrum Manggha z uznaniem. Nieliczne – głównie z kręgów Rady Miejskiej – głosy sprzeciwu, powtarzające do znudzenia, że miejsce naprzeciw Wawelu zarezerwowane jest „dla Polaków”, szybko ucichły.

Poprzez swoją długą i bogatą historię Kraków jest miastem bardziej tolerancyjnym niż inne. Tutaj od zawsze budowali obcy: Niemcy i Włosi, czasem Francuzi i Holendrzy. Dziś to wszystko jest nasze, naznaczone piętnem narodowej przeszłości. Cóż dziwnego, że znalazło się pod Wawelem miejsce i dla wielkiego artysty japońskiego?

Para książęca zjawiła się na schodach pierwsza. Nie przypadkiem właśnie księciu Takamado powierzono otwarcie naszego Centrum; to jego ojciec, brat nieżyjącego już cesarza, wręczał mi siedem lat wcześniej w Kioto Nagrodę Inamori, od której zaczęła się cała przygoda. Wzruszający moment powitania książąt z członkami naszej Fundacji uświetniło ogromne stado łabędzi płynących wolno na tle sylwetki Wawelu. Nigdy w życiu nie udało mi się wyreżyserować nic równie efektownego. Byłem szczęśliwy. Zbudowaliśmy Muzeum Sztuki i Techniki Japońskiej i witaliśmy w nim przedstawicieli Cesarza, a po chwili – polskiego robotnika Lecha Wałęsę, prezydenta Polski.

W tej wspaniałej chwili, kiedy nasza idea oblekła się w czyn, przypomniałem sobie, jak na przyjęciu u księżnej Takamatsu w poczuciu zupełnej wolności sięgnąłem po bukietik anemonów, aby tajemnicza ręka położyła go na stole we właściwym miejscu. Znalazłem się nagle wśród ludzi, z którymi wszystko jest możliwe.

W dzień otwarcia pani Takano zwierzyła się Krystynie, że chce uczcić swą matkę, która umarła rok wcześniej. Byliśmy wtedy w Tokio i po raz pierwszy i jedyny przekroczyliśmy próg domu naszej japońskiej przyjaciółki. Matka leżała wśród kwiatów, a żegnający zmarłą siedzieli wokół, pogrążeni w smutku; był to piękny i niezapomniany obraz.

– Moja matka na pewno cieszy się naszym sukcesem – powiedziała nasza przyjaciółka. – Chcę posłać jej kwiaty... Kolorem śmierci w Japonii jest biały. – Kupiliśmy więc białe orchidee i nad Wisłą, u stóp naszej budowli pani Takano rzuciła je do wody, a po niej ten sam gest powtórzyła Krystyna, której matka również odeszła z tego świata. Kwiaty wolno oddalały się od nas, a kiedy traciliśmy je z oczu, podpłynęły białe łabędzie, jakby chciały nam powiedzieć, że gest obu kobiet został przyjęty.

W budynku Mangghi nie mogliśmy pomieścić szkoły języka japońskiego, która była nam potrzebna. Ponieważ do budowy nowej inwestycji nie wystarczało Centrum jako instytucja państwowa, namówiłem się z japońskimi kolejarzami i sprzedałem im sto moich rysunków – z filmów, ze spektakli teatralnych, z podróży. Za te pieniądze wybudowałem szkołę, gdzie oprócz lekcji języka odbywają się rozmaite zajęcia praktyczne, działa klub bonzai. W czasie wizyty premiera Japonii jego żona rozmawiała tu w swoim języku z naszymi uczniami.

Nasze krakowskie Muzeum Sztuki i Techniki Japońskiej „Manggha” ma już dziewiętnaście lat. Jestem szczęśliwy, że udało nam się wykorzystać moment na początku epoki wolności.

W lipcu 2013, czyli w rok przed jubileuszem dwudziestolecia, odbyła się wzruszająca uroczystość – Krystyna otrzymała z rąk ambasadora Japonii Cesarski Order Wschodzącego Słońca ze Złotymi Promieniami i Rozetą. Rzadki wypadek, gdyż zwyczaj w tym kraju pozwala nagrodzić takim wyróżnieniem tylko jednego z małżonków, a ja otrzymałem ten order w chwili otwarcia Muzeum.

Dziś trudno nam chwalić się zasługami. Lepiej pamiętamy trudności, mnożone przez władze PRL-u, zwłaszcza po odmowie wręczenia Fundacji Inamori listu dziękczynnego od generała Jaruzelskiego. Po latach wpadł mi w ręce raport majora Wiesława Górnickiego, w latach osiemdziesiątych najbliższego współpracownika Generała, datowany 8 lipca 1987 i przeznaczony „tylko dla Przewodniczącego Rady Państwa”. Warto przytoczyć fragmenty tego raportu:

Z trudem hamując oburzenie i pogardę, pragnę zameldować Tow. Generałowi – do wyłącznej osobistej wiadomości – przebieg rokowań z Andrzejem Wajdą w sprawie nagrody Fundacji Inamuri (sic!).

Natychmiast po powrocie z Japonii skontaktowałem się z min. Aleksandrem Krawczukiem, przedstawiając mu przebieg rozmowy Tow. Generała z Inamurim i prosząc o dyskretne rozpoznanie stanowiska Wajdy. Min. Krawczuk, który wielokrotnie dał się już poznać ze swojego niepospolitego charakteru, światłego umysłu, odwagi, a także owej cudownej galicyjskiej lojalności wobec państwa, przyjął moje informacje z pewną niechęcią. Stwierdził on, że dwaj ludzie, tzn. Żuławski i Wajda, osobiście go obrażili, zamieszczając podpis pod Manifestem 61. Niemniej podjął się załatwienia tej sprawy.

Min. Krawczuk ma specjalną asystentkę do załatwiania delikatnych i skomplikowanych spraw, Annę Popławską (nb. moją była koleżankę z „Przekroju”, niezwykle inteligentną, urodziwą i odpowiedzialną). 8 bm. nawiązała ona kontakt z Wajdą i odbyła z nim nieoficjalną rozmowę w... Ogrodzie Saskim, ponieważ Wielce Szanowny Reżyser zląkł się, że ktoś może go zobaczyć w kawiarni z przedstawicielką reżymu.

Popławska, zgodnie z wytycznymi min. Krawczuka i moją instrukcją, przedstawiła Wajdzie prośbę Inamuri, podkreślając przy tym, że posłanie głowy państwa przy okazji nagradzania kolejnych laureatów jest już utartym obyczajem. Dała przy tym do zrozumienia, że zawrotna wysokość nagrody (ćwierć miliona dolarów!) i waga, jaką do niej przywiązuje Inamuri, stanowią jak gdyby konkurencję dla literackiej Nagrody Nobla.

Wajda zareagował w sposób niesłychanie gwałtowny. Stwierdził – cytuję dosłownie: „Nie, stanowczo nie, w żadnym razie nie jestem tym zainteresowany (...)”. Dalszy ciąg jego odpowiedzi podaję w streszczeniu: Wajda nie życzy sobie żadnego uczestnictwa żadnych władz polskich i sprzeciwi się, gdyby chciały one się włączyć do ceremonii. Popławska odniosła wrażenie, że sprzeciw Wajdy rozciąga się nawet na ewentualną obecność ambasadora PRL w Tokio. Co więcej, Wajda *expressis verbis* powiedział (cytat): „Jeżeli warunkiem przyznania nagrody przez Japończyków jest obecność władz PRL, to gotów jestem z tej nagrody zrezygnować”.

Popławska zapytała, czy ma to oświadczenie traktować dosłownie. Wajda potwierdził to ponownie, stwierdzając, że jego przekonania polityczne i pojęcia w żadnym stopniu nie zbiegają się z komunistyczną koncepcją. Popławska na moje polecenie powtórzyła Wajdzie wysoką ocenę twórczości filmowej Wajdy, jaką Tow. Generał zaprezentował wobec Inamuri – pozostało to bez jakiegokolwiek reakcji z jego strony. Wypowiedź Tow. Generała o pluralistycznym charakterze polityki kulturalnej PRL, również zacytowaną przez Popławską, Wajda zbyt wzruszeniem ramion. (...)

Trudno mi ukryć osobiste upokorzenie i odrazę wobec stanowiska Wajdy. Cała operacja rozegrana została w najlepszy możliwy sposób, nie angażujący bezpośrednio wysokiego urzędu państwowego, i na tyle nieformalnie, że w gruncie rzeczy można uznać misję Popławskiej za niebyłą. Nie ma więc mowy o żadnym incydencie. Pozostaje natomiast gorzka, obrzydliwa świadomość nędzy moralnej niektórych ludzi – i zarazem

wspaniała świadomość, że są jeszcze w tym kraju tacy ludzie jak Aleksander Krawczuk. Długo to pewnie nie potrwa, ale póki Polska nie zginęła – dobrze, że są.

mjr Górnicki

Dało się to jednak przezwyciężyć, czekając z budową na nową sytuację polityczną po 1989 roku. To Krystyna swoim nieprzejednaniem wybawiła mnie z wszelkich następstw ustąpienia władzom PRL-u, wierząc w zwycięstwo Solidarności. Najpierw zajęta pomocą uwięzionym, zorganizowaną w kościele św. Marcina w Warszawie, potem znajdowała czas na nieustającą działalność w Fundacji Kioto – Kraków. Nie mówiąc już o roli japońskiej żony, którą tak dowcipnie przedstawiła w swoim podziękowaniu za otrzymany order:

Feministka, Europejka, z rodzajem pogardliwego zdziwienia spytała Japonkę: – Jak pani może, mimo swojej pracy, tak siedzieć w domu i czekać na męża? Z przygotowanym obiadem? – Na to Japonka spytała ją: – A czy pani wie, gdzie jest pani mąż teraz? – Wyszedł rano, ale co robi, nie wiem. – A ja mogę pani dokładnie powiedzieć, gdzie jest mój mąż teraz, co robi i kiedy wróci. I z przyjemnością przygotowuję się na jego przyjście.

Ja też staram się, jak mogę, być japońską żoną i wiem, gdzie jest mój mąż w tej chwili.

